



„GLOB”

SPÓLDZIELNIA PRACY

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 13 42 34 tel./fax 13 44 95

**WIADOMOSCI
KULTURALNE**

00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35,

1
Nr

29 - 05 - 94
z dn.

Coś się stało
z naszą scenografią

Czy teatr musi być brzydki?

Bożena Winnicka

Teatr narzeka na publiczność. Zdarza nam się czytać pełne oburzenia wypowiedzi sług Melpomeny, odsądzających od gustu i rozumu widzów, którzy za własne przecież pieniądze kupili bilety i zasiedli w teatralnych fotelach. Po co? Zapewne dlatego, aby na dwie ulotne godziny oddalić się od własnego życia, dotknąć innego świata. Ten świat może być okrutny i przerażający, bywa jednak także doskonałszy, piękniejszy, bardziej uporządkowany i harmonijny.

Teatr narzeka na publiczność, publiczność skarży się na teatr. Jest anonimowa i niema, zatem w jej niejako imieniu przemawiają recenzenci lub krytycy, jak kto woli. Recenzent to też widz, tyle że częściej bywający w teatrze, obarczony zatem pamięcią setek przedstawień. A pamięć

w tym zawodzie jest elementem równie koniecznym, co niewygodnym. Skłania bowiem do porównań, często bezlitosnych.

Tak się złożyło, że obejrzałam ostatnio kilkanaście spektakli polskiej klasyki podczas Opolskich Konfrontacji Teatralnych, a także poza tym festiwalem. Były wśród nich dobre, średnie, złe, nawet skandaliczne, zrobione z pewną myślą i całkiem głupie. Jak to w teatrze. Ale wszystkie, no, prawie wszystkie, przywoływały jedno, wspólne im wrażenie. Były brzydkie. Określenie dziecinne i niefachowe, niegodne poważnego opisywania sztuki teatru. Wiem. Jednak oddaje istotę tego, co namgminnie pleni się na naszych scenach. Nie tylko w dalekim terenie, niestety.

Coś bardzo niedobrego stało się z naszą scenografią. Rzecz tym bardziej niepokojąca, że tradycje w tej dziedzinie mamy świetne, sięgające prawdziwych wyżyn sztuki. Od wielkich artystów, jeszcze przedwojennych, działających również po

wyzwoleniu, poprzez przełom lat 50. i 60., słynną batalię młodych, niezwykle utalentowanych o nowy kształt i funkcję teatralną polityki. Dyskutowano wtedy zajadle, buntowano się przeciwko hegemonii scenografa, przygniatającego więź i formą wszystko; co w teatrze zdawało się dotąd najważniejsze – autora i aktora, to już historia, ale przecie nie tak odległa jak wojny punickie. Uczestnicy tamtych sporów nadal tworzą, choć tylko – co rozumiałe – niejako od święta, na najlepszych, renomowanych scenach teatralnych i operowych. No i przeważnie za granicą. Jest ich zbyt wielu, aby wymieniać nazwiska. Nie o to zresztą chodzi, żeby oddać sprawiedliwość wybitnym. Zostawmy zatem historię, przejdźmy do teraźniejszości.

Mamy blisko sto scen teatralnych, wliczając w to duże, kameralne i całkiem małe. Zwykłą codzienną produkcję tych to załewa szpetna tandeta. Widać to od razu, gdy zaczynają się przedstawienia. Bowiem ob-

raz jest pierwszym wrażeniem, jakim uderza w nas teatr. Potem dopiero dopełnia go aktor, słowo, muzyka, światło, słowem wszystko, co tworzy magię teatru. To pierwsze odczucie często, zbyt często bywa z krzesła zwalające. Zwłaszcza w przypadku klasyki. Nawet nie tej wielkiej, grywanej coraz rzadziej, jako że brak na nią sił, środków, wiedzy, umiejętności i wyobraźni. Tylko kilka najlepszych zespołów stać dzisiaj na zmagania z dramatem romantycznym, o Wyspiańskim już nie wspominając. Od lat nad tym biadamy. Powtarzanie banałów jest zajęciem śmiertelnie nudnym, zatem nie o przyczyny stanu rzeczy mi chodzi, gdyż są one znane i wielokrotnie opisywane.

Teatr nasz zrobił się okropnie brzydki. I brzydnie nadal, szybko i nad wyraz skutecznie. Szczególnie boleśnie widać to w komedii, która – jak wiadomo – jest rozrywką, powinna zatem bawić – rozśmieszać i zachwycać. Pokraczny *Kordian* może urzec tematem, inscenizacją, myślą. Szpetny Fredro budzi sprzeciw i najgłębsze oburzenie.

Trudno żądać, aby przedstawienie komedii Fredry były na miarę *Dam i huzarów* Janusza Nyczaka czy *Ślubów panińskich* Andrzeja Łapickiego granych w pięknej dekoracji i ślicznych kostiumach. Wymaga to bowiem specjalnych, a rzadkich talentów: wiedzy o epoce, wyczucia stylu, pomysowości, lekkości i finezji dialogu, swobody mówienia wiersza, subtelnej ironii, elegancji gestu, no i znajomości tzw. manier, czyli po prostu dobrego wychowania.

Przywołuję tu spektakle wybitne, teatralnie bardzo różne, ale ukazujące niepowszednią urodę fredrowskiego świata. Może ona być wytnięciem, ucieczką od monotonnej szpetoty i brudu otoczenia, od rzymskiego języka ulicy, od chamstwa, wobec którego czujemy się coraz bardziej bezsilni i bezbronni. Fredrowskie panińki, ciotki i pokojówki, panice, huzarzy i stryjowie wydać się mogą naiwni, to prawda. Nie

są przecież głupszy od całej dynastii Carringtonów, a przynajmniej mówią do nas przebogata, barwną polszczyzną, jakiej nigdzie, poza sceną, usłyszeć się już nie da. To wielki atut teatru. Żal go zaprzepaścić.

Tak więc przedstawienia dwunych naszych komedii nie muszą być doskonałe. Mogą być przeciętne lub wręcz słabe, grane nijako, bez rytmu, rymu, wiersza i inwencji. Trudno. Fredro i tak się broni. Ale, na miłość boską, niechże przynajmniej nie będą tak przerażająco szkaradne! Cóż bowiem widzimy?

Pomieszanie form i stylów tworzy na scenie bałagan, odrażający i całkiem niezrozumiały. Nie jest bowiem pomysłem scenografa, lecz dowodem bezczelnej amatorszczyzny. Jakież to wszystko bure, bezkształtne, wyprane doszczętnie z koloru, do tego wykonane niechlujnie, krzywe i chybotałliwe. Kostiumy paskudne. Zarówno męża i żony, dam i huzarów, jak i podstoliny i cześników. Bez krzty gustu, stylu i sznytu. Te jaskrawe brokaty, wyleniałe mundury, nietwarzowe stroiki, koszmarnie kolorowe marynareczki wołają o pomstę kostiumologa! W dodatku jakby projektowane były osobno, bez cienia starań o zachowanie gamy kolorów, kompozycji scenicznego obrazu, nie mówiąc już o zwykłej estetyce. Uszyte to wszystko na ogół tak fatalnie, że podniesienie ręki wymaga od aktora sporego wysiłku, a objęcie partnerki grozi wyrwaniem rękawa.

Stara to prawda, że kostium, jak i ubranie, powinien raczej ukrywać cielesne mankamenty niż je uwidaczniać. Nasi aktorzy na ogół nie przypominają posagów Adonisa. Amant może mieć brzuszek, jego wola. Ale tłuszczoszek wciśnięty w przyciasny frakcek to już horror i zgroza.

Na opolskim festiwalu w przedstawieniu *Pożegnania jesieni* pistolet nie wypalił. Trzykrotnie. Zosia, żołnierz i Atanazy Bazakbał musieli więc umrzeć na zawał serca. Myślę, że to była zemsta Melpomeny. Za brzydotę teatru.